

Dwa razy Brahms

Gerhard Oppitz jest jednym z tych pianistów, którzy pomimo dość długiej obecności w salach koncertowych nie są znani szerszemu gronu melomanów. Czy to skutek niesprzyjających okoliczności, czy też braku odpowiedniej promocji – nieważne. I tak warto o nim wiedzieć.

Urodzony w 1953 roku, w bawarskim miasteczku Frauenuau, już w wieku jedenastu lat po raz pierwszy wystąpił publicznie z koncertem d-moll Mozarta. Wśród publiczności znajdował się Paul Buck, profesor fortepianu, który uznał za stosowne wziąć młodego Gerharda pod swoje skrzydła. Aż do ukończenia średniej szkoły (1971) Oppitz był eksternistycznym studentem Akademii Muzycznej w Stuttgarcie. Trzy lata później przeniósł się do Monachium, gdzie studiował w klasie Hugo Steinera.

Rok 1973 przyniósł Oppitzowi spotkanie z muzyczną legendą, Wilhelmem Kempffem. I właściwie od tego momentu Kempff stał się dla niego mentorem i duchowym przewodnikiem. Zaprosił go do Positano, gdzie razem pracowali nad sonatami i koncertami Beethovena. Dzisiaj Oppitz jest często postrzegany jako następcą Kempffa i Edwina Fischera, wybitnych przedstawicieli tzw. „niemieckiej” szkoły interpretacyjnej. Coś jest w tym potocznym rozumieniu „niemieckości”, bowiem w grze Oppitza panuje niebawym porządek, spokój i poukładanie.

W roku 1977 jako pierwszy Niemiec wygrał konkurs Artura Rubinsteina w Tel Awiwie. Rok później nagrał swoją pierwszą płytę i w tym samym czasie zaproponowano mu objęcie profesury w Munich Musikhochschule. Oppitz obawiał się jednak zbytnej stabilizacji, która wkrótce mogłaby przerodzić się w stagnację. Stałe obowiązki związane z prowadzeniem własnej klasy mogłyby stanąć na przeszkodzie jego planom koncertowym. Ostatecznie trzy lata później Oppitz tę propozycję przyjął i w ten sposób, w 1981 roku, został najmłodszym profesorem w historii tej uczelni. Odziedziczył także po Kempffie master classes w Positano, gdzie każdego roku daje lekcje małej grupie wybranych studentów.

Nie jest to, trudno zaprzeczyć, życiorys, który powala na kolana. Dość przeciętny, chociaż wystąpiło w nim kilka ciekawych momentów. I też nie życiorys jest celem w sa-

mym sobie. Bezpośrednio prowadzi bowiem do wykonawstwa Oppitza, a to winno być mierzone już zupełnie inną, nieprzeciętną miarą. Z koncertami Beethovena w jego wykonaniu mieliśmy już styczność (nr 1/98 Hi-Fi i muzyki) – teraz krótkie zbliżenie na oba koncerty fortepianowe Brahmsa.

Nie są, niestety, równie zachwycające jak koncerty Beethovena, a to z winy nieuporządkowanej partii orkiestry. I to pomimo obecności tak znakomitego dyrygenta, jak Sir Colin Davis. Początek I koncertu jest pozbawiony pulsu, brak w nim jasno określonego metrum, jest po prostu bałaganem o nieostrych, rozmytych konturach. Węjście fortepianu reguluje tę niechlubną płynność. I wcale nie jest to lopatologiczne wybijanie kreski taktowej. Oppitz po prostu wyrównuje puls, a przy tym „opatula” nas dźwiękiem niczym ciepłym kocem w chłodny wieczór. Barwa dźwięku i jego wybrzmiewanie są piękne i zasługują na wiele zyczliwych słów. Od największych mistrzów różni go pierwsza faza wydobycia dźwięku – atak. U Oppitza ma on w sobie dużo niepożądanego stukotu, niepotrzebnej, nieświeżej hałaśliwości, drewnianej i wyraźnie odbiegającej od barwy wybrzmiewania. W przebiegu frazy Oppitz jest muzycznie uśmiechnięty i pogodny. Potrafi być delikatny lub drapieżny. Ale przede wszystkim wyraziście przemawia. No i bardzo dobra technika, w tym kontekście szybkość, bo o innych aspektach już napomknęłam. Całości towarzyszy pasja – niezbędna przecież przy wykonywaniu Brahmsa. Orkiestra dostosowuje się do poziomu Oppitza – znak to, że potrafi, ale już początek drugiej części znów przynosi orkiestrę rozmąlaną. Za mało w tej partii metafizyki. Grają tak po prostu, żeby nie powiedzieć, prostacko. Brahmsa!!! Za mało zwykłego, oczywistego muzykowania. I znów Oppitz pociąga za sobą orkiestrę – razem tworzą klimaty uwypuklające bogatą Brahmsowską harmonikę. Wreszcie słychać rękę Sir Colina Davisa, wreszcie mówią pełnymi zdaniami, a ich wypowiedź jest zrozumiała, pozbawiona zadyszki i po-

śpiechu, z perspektywą długiej frazy, nieskończonego legato, luku aż po horyzont. Pełną pierśią artykułując rzeczy ważne i istotne – i nie wstydzą się tego. Pianista, dyrygent i orkiestra po długich negocjacjach doszli wreszcie do porozumienia. Już nie walczą tylko tworzą razem, odnajdując złoty środek i wspólnie idą naprzód, wspierając i uzupełniając się wzajemnie. I w tym momencie technika nie jest już istotna.

Najwięcej na tym trudnym i żmudnym odnajdywaniu się całego zespołu zyskała część trzecia. Fortepian od razu narzuca puls, a orkiestra dosyć konsekwentnie go realizuje. Gdyby tak mogli od samego początku.

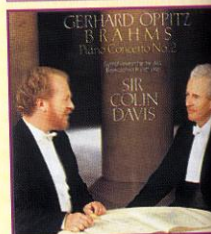
W drugim koncercie historia trochę się powtarza. To, co odrobinkę wytrąca z równowagi, to drobny bałagan w partii fortepianu – naprawdę drobny, ale jednak irytujący. Np. mało czytelne tryle w pierwszej części. Chwilami jednak przebijają jasną koncepcją i to jest najistotniejsze. Mistycznym pierwszymi częściami jest podparty brzmącym basem, niezbyt długo przytrzymanym prawym pedałem. Sporo satysfakcji sprawiają solówki orkiestrowe – wyciągnięte ponad materię brzmieniową całego zespołu. Początek drugiej części jest od początku zbyt konkretnie określony; już za chwilę jednak zmienia się w zadumę i tęsknotę, by trzecia część stała się już całkowitym zadumaniem i zamysleniem. Warte uwagi jest solo wiolonczelowe. Niestety, w książeczce nie ma informacji o muzyku je wykonującym. Czwartą część przynosi wiele dowcipu, jest lekka, przejrzysta i wykonana z polotem.

Obie płyty wzbogacone zostały solowymi popisami Oppitza. Koncertowi d-moll towarzyszą ballady op. 10, koncertowi B-dur – Klavierstücke op. 76. W balladach pianista daje sobie czas na długie, sozyste wybrzmiewanie każdego dźwięku. Efekt jest piękny, tylko znów odrobinkę przeszkadza ten początkowy stukot. Oppitz wynagradza nam to znakomitymi, symfonicznymi wręcz proporcjami brzmienia prawej i lewej ręki. Do tego idealny, nie za długi pedał. Małe formy Oppitz taktuje jako nieprzerwaną całość



Gerhard Oppitz - fortepian
Symphonieorchester
des Bayerischen Rundfunks
Sir Colin Davis - dyrygent
Johannes Brahms
I Koncert fortepianowy
d-moll op. 15
Ballady op. 10
1993 BMG, RCA VICTOR
RED SEAL 09026 61618 2

interpretacja
dźwięk



Johannes Brahms
II Koncert fortepianowy
B-dur op. 83
Klavierstücke op. 76
1993 BMG, RCA VICTOR
RED SEAL 09026 61618 2
dystrybucja: BMG Poland

interpretacja
dźwięk

– prowadzi je od pierwszego do ostatniego taktu, w którym logicznie wyprowadza myśl muzyczną poza obszar naszego słyszenia. Kolejne ballady wychodzą po prostu przez dźwiękoszczelną futrkę – może gawędzą jeszcze gdzieś po drugiej stronie? I jest tylko jeden element całości, który zdecydowanie niepokoi. Oppitz, tak jak i wielu przed nim, nie ustrzegł się pewnego niebezpieczeństwa. Zapomniał chyba, że Brahms, szczególnie wykonywany solo, jest piękny, ale trudny w odbiorze. I czasami może znudzić. Tak i w Klavierstücke; śpiewa swoim głosem, może czasem odrobinkę zbyt romantycznie, może zbyt nerwowo, może czasem zbyt surowo. Z pasją, ale czy wystarczającą dla laika?

Agnieszka L.